

Agnieszka Wróblewska: Proszę się przedstawić i powiedzieć, gdzie i kiedy się Pani urodziła.

Felicja Korbik-Szymanowska: Nazywam się w tej chwili Felicja Korbik-Szymanowska, z domu Mocek. Urodziłam się 9 grudnia 1927 roku jako piąte dziecko Józefy i Leona Mocków. Miałam czterech starszych braci, a ja byłam jedyną córką. Najstarszy Mieczysław, rocznik 1915. I trzeba mówić dalej o nim czy to wystarcza?

A.W.: Na razie to wystarczy.

F.K.-S.: Drugi był Bolesław, rocznik 1919, Czesław 1920, Tadeusz 1923, no i ja byłam tą ostatnią. Może powiem właśnie o tych braciach, jak to było. Mieczysław w 1935 roku złożył maturę. Potem poszedł na podchorążówkę, bo tak musieli iść potem ci maturzyści. Kiedy wrócił z podchorążówki, to udało mu się dostać pracę w Komunalnej Kasie Oszczędności, naprzeciwko naszego liceum. I tam pracował aż do wojny. Jego szefem był pan Hejnowicz, rozstrzelany na rynku. Bolesław i Czesław razem chodzili do szkoły. Czesław był bardzo zdolnym chłopcem. Z tym, że w tym czasie, bodajże w czwartej klasie gimnazjum – bo oni musieli już po czwartej klasie podstawówki iść do gimnazjum, tak było wtedy – w czwartej klasie gimnazjum Bolesław poważnie zachorował i stracił cały rok nauki, tak że ten młodszy go wyprzedził. Ten młodszy składał maturę w 1938 roku. Miał 17 i pół roku, młody chłopak. No i też, mimo że nie był dużej postury, ale jeszcze objęła go ta podchorążówka. W Poznaniu był na podchorążówce. No i tak się cieszył, że w kompanii jeszcze był jeden młodszy, mniejszy od niego [śmiech]. Bolesław stracił cały rok i składał maturę w 1939. Także on już nie zdążył iść do wojska, bo wojna wybuchła. Ale Czesław był już zapisany na studia, na podstawie samych świadectw, bo w klasie maturalnej był prymusem. I na podstawie samych świadectw był przyjęty do Poznania na uniwersytet. Prawo i ekonomię miał tam studiować. No niestety, 1 września wybuchła wojna. 20 miał wrócić z wojska, a od 1 października miał studiować. Niestety on już walczył, był w wojsku, w trakcie służby i już do domu nie wrócił. Już pojechał potem jako jeńiec do Niemiec, do pracy. A jeszcze muszę powiedzieć o Mieczysławie. Mieczysław był mobilizowany w 1939 i walczył też nad Bzurą. Przedostał się do Warszawy, w Warszawie walczył aż do kapitulacji Warszawy i też jako jeńiec był, ale został zwolniony do domu. Tadeusz natomiast też zaczął chodzić do gimnazjum, bo mój tata zawsze mówił, że z maturą będziesz lepiej krowy paść i lepiej łopatą robić. Ale niestety po półtora roku tata go wziął, no bo nie szła mu nauka, bo on chciał pracować na gospodarstwie, jemu to pachniało. Bo moi rodzice prowadzili gospodarstwo, nie było takie bardzo duże, z tym, że po kilkunastu

latach udało im się dokupić jeszcze dwadzieścia mórg ziemi, tak że już to gospodarstwo było trochę większe. I to już tak.

W każdym bądź razie, mama była bardzo pracowita. Ale mój tata tak samo. Mój tata był politykiem, [00:05:00] bo należał do Stronnictwa Ludowego i on współpracował już od początku, wtedy jeszcze był młodym człowiekiem Stanisław Mikołajczyk. I oni razem współpracowali, wiecie o kim mówię, tak? Tak. Tak. I oni razem współpracowali. Nawet Mikołajczyk kiedyś u nas nocował. I tak, oni właściwie dążyli do polepszenia warunków na wsi, bo była wielka bieda. I oni chcieli przeprowadzić, ziemię rozdać ludziom, żeby obszarnicy mieli mniej i dali ludziom, żeby lepiej żyli. Bo ludzie żyli naprawdę w wielkiej biedzie, szczególnie na majątkach. A szczególnie w Bonikowie.

I teraz tak, jak jeszcze byłem dziewczynką, jeszcze nie szłam do szkoły, to pamiętam, że w domu była jeszcze babcia, taty mama, Konstancja. Ona zmarła mając 88 lat i były jeszcze trzy siostry taty, trzy ciotce. Początek 1933 roku, babcia zmarła i ciotce się przeprowadziły naprzeciwko do wujostwa, bo tam była, ta ciocia to była ich siostra i one tam mieszkały, a u nas już się zrobiło trochę luźniej, no bo wiadomo wszyscy wyrastali i także one potem tam były. Z tym, że mój tata dał im tam przed wojną majątek, z tym, że ten majątek ? [00:06:40] bank to wszystko przejął. Zostały bez niczego, można powiedzieć, nie? Raz. A drugi raz im dał i potem, to było tak, że wuja Olek budował tamten dom, bo kupił takie małe gospodarstwo i one mu te pieniądze dały i potem u niego mieszkały.

No i teraz chodzi o szkołę. Do szkoły właściwie poszłam, mając pięć i pół roku. Byłam zdolna. Pisałam, czytałam, liczyłam, wszystko. Mój tata stwierdził, że się marnuję w domu. No i do szkoły. W pierwszej klasie. Z tym, że miałam dużo dzieci, bawiłam się dużo z dziećmi wkoło. [F.K.-S. pokazuje zdjęcie AF_MBPKoscian_001_11] I tutaj, tu na tym murze grałyśmy w piłkę. Ja miałam zawsze piłkę do gry, a wkoło dzieci były, które nawet piłki nie miały do zabawy. I ja im tej piłki użyczałam. I tak kolejka szła, jak ktoś, któraś spudłowała, to szedł na koniec kolejki. I ja też szłam, jak spudłowałam, na koniec. Moją piłką grałam. Bo u nas było tak, że nikt nie gardził biedotą.

Tak w ogóle było dużo żebractwa. Przychodzili z miasta. Dużo ludzi przychodziło. Po trochę pyrek. Po trochę skórek od okrasy. Po kawałek chleba, po jakieś wspomnienie, po słomę do siennika. I zawsze każdy coś dostał. Z tym, że jak była zima, było tak, że mieliśmy za stodołą kopiec z ziemniakami. Trzeba było pilnować tego. Bo jakby ktoś przyszedł, byłaby zima, odkrył był kopiec, to by wszystko zmarzło. A przecież to gospodarstwo nie było aż takie, bo to

był tylko jeden kopiec. Mój tata miał broń. W razie czego, jak psy szczekały gdzieś tam poza to, no to już ktoś tam biegł, bo tam coś się dzieje. I bywało tak, że nawet mój brat gonił kogoś aż na most. Bo my blisko Marcinkowskiego, to blisko na tym moście. Tak, no musieliśmy bronić tego. Bo tata mówi: – *Niech przyjdzie i poprosi, to dostanie*. No i takie rzeczy były, ludzie.

No i dzieci nie miały zabawek. Myśmy się tu bawili. Tu był szeroki chodnik, samochodów nie było, tylko wozy jeździły. Przypuścimy raz po raz pani hrabina Chłapowska przejeżdżała powozem, czterema siwkami do Bonikowa, nie? To tylko kurz był, bo to była połowa bruk, połowa latówka, nie? A i buzi nie było widać, przez kapelusz i kurz. To żeśmy zawsze to oglądali. I tu na tej ulicy to były rysowane wszelkie skakanki, wszelkie wszystko. I myśmy sobie musieli sami wybierać. [00:10:00] Nikt nam nie szukał zabawy. Bąki były, skakanki różne, wszystko. Ale to były sezony. W tym sezonie to, w tym to, w tym to. Tak było.

I teraz tak jeszcze wam powiem. Mieliśmy ładny ogródek. Wszędzie gdzieś w gospodarstwach, to powiem później. U nas było, tu jest budynek, tu jest ładny, tu jest duży ogródek ogrodzony. Tu był wjazd. I tu były kwiaty, krzewy, agresty, porzeczeki, drzewa. Tu się wchodziło do domu. Tu kury nie miały dostępu. Bo były wielkie, mieli podwórka, ale kury wszędzie chodziły, tylko pod domami mieli ogródki. A u nas było czyściutko, ładnie wszyscy wchodzili. Ładny ganeczek wybrukowany. Wszystko elegancko, było czyściutko. I to tak wyglądało.

A tu obok, w tym, no to tutaj stolarz Jankiewicz. No to tam myśmy w dobrej zgodzie żyli. I tu był przypuścimy dom. Tutaj tam dalej była stolarnia duża, tam podwórko, chlewik. I mój tata w czasie wojny zrobił, początek wojny tam przejście takie, że ja z rodzicami chodziłam tam spać. O, bo nie damy się wywieźć. Bolesław brat już mieszkał u Olków. Bo on zostanie, bo w razie czego to będzie nam paczki gdzieś tam wysyłać, nie? Ale Tadeusz i ja byliśmy w domu. No ja z rodzicami chodziłam spać. W końcu nam się sprzykrzyło i przestaliśmy już tam chodzić. I to jest dom, gdzie urodziła się babcia Ani Przybylskiej. W tym domu. Tam było masę ich, tych dzieciaków ośmiu czy dziewięciu ich tam było wszystkich. Już dorosłe wszystko, wszystko było starsze, nie? I to taka była przyjaźń, zgoda była. Naprawdę była wielka zgoda między nami. Z drugiej strony tam byli Świątkowscy. Nie wiem, czy wiecie o Świątkowskich w Kościanie. Nie. To byli tam Świątkowscy. Ta jedna jest, jeszcze w tym, Ludka jest w klasztorze. Może wiecie o takiej kostnicy, co jest w klasztorze? W Krakowie jeszcze jest. To jeszcze jedna pewno żyje. Bo jeszcze tu żyje Tedzia, która robiła. Jej siostra robiła zdjęcia klatki piersiowej. Tu w tym szpitalu taka była Świątkowska. No to jej siostra. I to tam. Myśmy

ze wszystkimi w wielkiej zgodzie żyli. I teraz, jak by to powiedzieć dalej... Teraz powiem o szkole. Jeszcze powiem, że u Olków miałam drugi dom. Bo u mnie w domu nie miał kto się zajmować mną po prostu. U Olków była kuzynka 14 lat starsza ode mnie i ona była taką moją opiekunką. Wujka też tam, ciocia. Oni mieli czas.

A moja mama była tak zajęta, bo mój tata wiecznie gdzieś jeździł. Był radnym w Kościanie, był radnym w sejmiku wojewódzkim, w różnych komisjach. Na przykład kościański psychiatryk to był... On to wszystko tutaj dochodził. Był w tej komisji, która wszystko tutaj robiła przy tym. I także on i tam różne drogi... Wiecznie był gdzieś. Tylko jak była duża robota: żniwa, no to wtedy był w domu. Ale tak to wiecznie był gdzieś. Zawsze musiał być ładnie ubrany. A mama pilnowała gospodarstwa.

Mieliśmy chłopaka do pracy, do koni. I był chłopak do bydła, który jeszcze chodził do szkoły. Tak chłopcy chodzili. Był dwa lata starszy. On chodził do szkoły, a rano przychodził do nas. Naprzeciwko nas mieszkał. Właśnie tam u babci Ani Przybylskiej w tym domu mieszkał. I on przychodził. I on pracował. Nie wiem, kiedy on się uczył. Ale u nas jadł. Pieniążki dostał. Bo musiał na życie zarobić. Jego brat tak samo. Z ich siostrą się przyjaźniłam. I ta mama, ich mama u nas też robiła w polu. Jak tu była robota czy coś, to ona też robiła w tym polu. Oni musieli, no bo ojciec w Belgii siedział i mało co przysyłał. Jak przysyłał franki, to mój tata je wymieniał w Poznaniu, bo ona nie miała sposobu, żeby coś zrobić.

Także mój tata był takim po prostu... Jak by można powiedzieć? Dobrym duchem w Kiełczewie. Bo jego inicjatywa była właśnie ten las kiełczewski. [00:15:00] To była jego inicjatywa. Mówił do mnie: – *Nie mogłem przepatrzeć, jak te piaski dobrą ziemię zasypują. Z zachodu dobre ziemię zasypują.* I to była jego inicjatywa. A było kółko rolnicze, takie dosyć prężne. Co niedzielę po mszy u nas byli. Przychodzili do nas. Jedenastu, dwunastu. Siedzieli, a w pokoju to toporek by zawiesił od dymu. I do obiadu siedzieli nad sprawami wioski. Tata się postarał o sadzonki, bo miał znajomości w Poznaniu z nadleśniczymi. I tutaj był taki drugi ktoś, kto pomagał mu w tym, że pilnował pracę. Że przypuścimy co roku coś obsadzali wkoło. Te piaski. I co roku bezrobotnych brali. Parę groszy sobie zarobili. I oni co roku dosadzali. Żeby nie wojna, to byłby cały las, a że przyszła wojna, nie zdążyli. I jest tam teraz takie osiedle. Bo inaczej to by było wszystko zasiedlone.

I jeszcze mój tata znał archeologa Józefa Kostrzewskiego z Poznania. Znać? Wiecie o nim? [F.K.-S. zwraca się do córki:] Benuś, poszukaj Kostrzewskiego. Jeszcze jego syn. I było na polu, tak się mówiło, na Grzybowie. Grzybowo. Każde pola miały jakąś nazwę. I na tym polu,

jak tata orał, to wyorywał różne rzeczy. No więc poprosił go, żeby przyjechał do nas i zrobił wykopaliska. I to było naprzeciwko Szczodrowa. I ten pan Kostrzewski wynajął w Szczodrowie dwóch ludzi i oni kopali. Ale kopali tylko na naszym polu, bo obok sąsiad nie pozwolił kopać. Nie wiem dlaczego. To tam na chatę, na takie różne. I były te urny takie tam, i takie małe miseczki, takie płaczki na to. I takie ognisko, że tam palili zwłoki. Na to wszystko natrafili. I niektóre takie drobne rzeczy u nas na strychu były. Jak już trochę doszłam do czegoś, to tata mi to opowiadał. I to wszystko było. A potem już nikt więcej tam nie kopał.

Ale mój tata miał też taki certyfikat z Poznania. Z Poznania od biskupstwa poznańskiego, bo Kiełczewo to była wieś biskupia, że to był rok 1600 któryś tam, że koło Kiełczewa była wieś Korablewo. Tam gdzie te kiełczewskie łąki, tam daleko, w stronę Kokorzyna. I tam była wieś Korablewo. Biskupstwo przekazywało grunty tej ziemi Kiełczewowi. I tata to miał. I kiedy była w 1936 roku wystawa u nas rolnicza, pan Igłowicz, on był historykiem, pożyczył od taty właśnie ten certyfikat. Pamiętam, jak tata rozłożył, szykował jemu. Rozłożył na stole, na baraniej skórze taki kwadrat duży składany, po łacinie pisany. I to jeszcze widzę, to wszystko. I pan Igłowicz to wziął, bo on też miał stoisko na wystawie. No i tak trzymał, trzymał, przyszła wojna i to zginęło, i nie ma tego, a to była bardzo cenna rzecz. No ale kto wieszczał, że tak to wypadnie. I teraz co jeszcze...

Do szkoły też chodziłam wcześniej. Już w pierwszej klasie, tu zdjęcia są, to może potem dostaniecie. Może z pierwszej klasy. Zaraz. [F.K.-S. pokazuje zdjęcie AF_MBPKoscian_001_03] I z tego zdjęcia tylko ja żyję, ja jedyna żyję z tego zdjęcia, już nikt nie żyje, rodzynka została, tak. I tu jest powiem Pani tak: [00:20:00] tu jestem ja, a to jest siostra Bogusia Polaka, obok. Ja mówię „Bogus”, bo ja go jako chłopaka już znałam, jak w Kiełczewie byli. Ale to po wojnie dopiero, bo on się urodził tam w protektoracie. A ja u nich w domu bywałam, bo byłam jej koleżanką. Bo dlaczego? Ona nie wyszła na dwór, na wieś, żeby się z dziećmi bawić, nie wypadało pewno córce kierownika, to siedziała sama. Po mnie przyszła, żebym ja z nią się bawiła, żebym siedziała. A myśmy mieli taki raj przed naszym domem, niesamowity. Te nasze mury to by nie wiem co mogły tam powiedzieć.

I teraz tak, mając 6 lat, to już musiałam w domu zmywać, bo w tym czasie właśnie brat Bolesław był chory, on był na te pół roku choroby. Doktor Tomkiewicz go leczył. Miał wodę na płucach. Paśł krowy, położył się na mokrej lucernie i zachorował. Bo oni chodzili do gimnazjum, ale musieli w domu pomagać. Na wakacje nigdzie nie wyjeżdżali, wszyscy musieli pomagać. No, niestety, bo nie było tak, żeby, no... I on już zmywał, ja wycierałam. Ale on wrócił do szkoły, to ja już sama musiałam zmywać, wycierać wszystko, płukać wszystko, ja już to

musiałam wszystko robić. Ja musiałam już w tym ogródku pomagać, już dziabnąć, już wszystko robić. Tylko ja to robiłam z chęcią, jakoś, ja nie wiem, no tak miało być widocznie. Ja musiałam ulicę sprzątać, całość, bo co tydzień musiała być ulica pozamiatana. Bo jak nie, to by była kara. Bo my przy samym mieście, piąty dom od miasta, no szczególnie. No to czyściłam, zamiatałam chodnik, czyściłam. Ale jeszcze był taki rynsztoczek. Ciągnął się od Marcinkowskiego, przy Roszaku, ciągnął się ten rynsztoczek, jeszcze nie był głęboki. Ale to musiałam wyskrobać, zrobić, bruk pozamiatać, bo tam były copki od koniny. Ale latówkę to już sprzątała druga strona. Oni grabili, już tak było. I to w koszyku wynosiłam, na – jak to się mówiło – na gnojnik, bo tak było, no właśnie. I to wszystko ja już musiałam, mając 8 lat, już musiałam konie w maneżu poganiać, bo najmłodsza. To już godzinami chodziłam za końmi. Latem, jeśli przyszła jakaś koleżanka, to ze mną chodziła. A w zimie to kto by tam przyszedł, na to, przypuśćmy, wypuczajewo za stodołą, żeby ze mną chodzić. A jeden koń taki był, że on tak, jak w zimie był nienapracowany, to musiałam uważać na niego, bo on by tam kopał, albo coś, różnie, źle ciągnął. Coś tam musiałam wiedzieć, jak iść, w którym miejscu być, żeby mnie w razie czego drąb nie zabił. I tak było, widzicie. I wcześniej musiało się wszystko: wodę nosić z pompy. To wszystko się robiło. Teraz dzieci nie potrzebują, niestety. Było mniej hejtów, teraz jakby miały robotę...

Radio mieliśmy. Czesław, ten trzeci, był bardzo zdolny. Oni się dużo uczyli w gimnazjum, bardzo dużo się uczyli. I on robił dla nas, tylko dla nas, radia, te na igiełki, Benuś?

Bożena Hordecka: Kryształki.

F.K.-S.: Na kryształki, on już robił. Nie było prądu jeszcze i on robił kryształki, i myśmy ścigali Lwów, Kraków. Tylko trzeba było wiedzieć, gdzie tą igiełką, tego. Mieliśmy trzy pary tych słuchawek. Jak coś ciekawego, jak to było? Szczepko i Tońko. Nie wiem, słyszeliście o nich? Tak?! No, to chociaż jeden słuchał, to żeśmy słuchali, bo to było ciekawe, i mogliśmy. Poznań, to wszystko, przy Warszawie, myśmy to wszystko na tym kryształku słuchali. Antena była wielka od domu, aż het przez całe wielkie podwórze, aż do stodoły. [00:25:00] I mieliśmy radio! Tak to robił, on sam nawijał cewki, on to wszystko robił. W każdym bądź razie, kiedy potem w 1937 roku państwo założyło nam prąd, no to wtedy...

Aha! Jeszcze opowiem o czymś innym. W szkole, tu są zdjęcia: [F.K.-S. pokazuje zdjęcie AF_MBPKoscian_001_04] to jest w drugiej klasie, odgrywamy, tam stoi pan Polak, ojciec Bogusia i pani Kazimiera Tomaszewska. Ona w pierwszej i drugiej klasie nas uczyła. To była „Królowa Wiosna”. Renia Królową Wiosny jest, siostra jego. To z pierwszej klasy już było.

W ogóle jak było zawsze jakieś przedstawienie, w każdym jednym ja brałam udział. Miałam trochę tych zdolności aktorskich. I teraz co jeszcze?

A.W.: Proszę trochę jeszcze powiedzieć o tej nauce w szkole. Czego się uczyliście? Jak to wyglądało?

F.K.-S.: Śpiewu uczył nas pan Matecki. Masz gdzieś jego na zdjęciu. Pan Matecki mieszkał na Marcinkowskiego, gdzie Musielak mieszkał, w tym domu. On tam mieszkał. On nas uczył śpiewu, geografii i założył chór. Też należałam do tego chóru. I nie wiem, który to był rok, czy to był rok 1938. Był konkurs w szkole, w białej szkole, jak się mówiło. W takiej gminnej. Wszystkie gminy i chóry śpiewały. I Kiełczewo zdobyło pierwsze miejsce. Dostaliśmy mały odbiorniczek, Pionierka takiego w nagrodę. Kiełczewo miało pierwsze miejsce. Bardzo ładnie nauczył, takie fajne. Tak żeśmy pięknie śpiewali. I on nas to uczył. Był bardzo dobrym człowiekiem. Po wojnie uczył w Poznaniu w radio śpiewania dzieci. I co jeszcze tam było? No były robótki, było takie coś, prace ręczne też były. To nas uczyła i gimnastyka była, ze śpiewaniem i w ogóle. I roboty ręczne to nas uczyła pani Mayówna. Ciocia tej pani Ławniczakowej, która mieszka na Szkolnej, Pan zna? No, to jej ciocia Klara, ona nas to uczyła. I ona jeszcze potem przy końcu uczyła nas nawet cerować. Pięknie cerować. Więc kupiłam sobie grzybek. Do dzisiaj go mam. Ze mną jeździł wszędzie ten grzybek. Do dzisiaj go mam, ten grzybek. Jeszcze go używam. Wystawa kiedyś też w szkole była. Takie tam robótki różne. To też tam przychodzili z różnych szkół oglądać. Też pan Minta przychodził. On miał dzieci głuche. On uczył w sanatorium. To z tymi dziećmi tam przyszedł. Tylko żeby nie chciała mówić o jednej rzeczy, o panu Polaku. Tam o Polakach nie chciałabym mówić. Wolałabym nie mówić. Bo po co to. Niby nie straszne, ale po co tam im mieszać. Może by nie chcieli, żeby wiedzieć... Pan Polak, jak się wojna zaczęła, pojechał do Rabki. Bo on sam tam pochodził. Bo jak tu dużo ludzi puciekali. I dobrze, że nie przyjechał, bo byliby go pewno rozstrzelali tutaj Niemcy. I potem pani Polakowa... Niemcy otworzyli tu szkołę w szkole. Początek stycznia 1941 roku. W styczniu otworzyli niemiecką szkołę. Bo ja już się zaczęłam uczyć przedtem niemieckiego sama. U Olków mieli książkę. Już ciocia mi pokazywała. Ja już sama czynnie się uczyłam. W ogóle przed wojną już się uczyłam niemieckiego. Bo ja nie jestem... Ja jestem humanistką. [00:30:00] A z rachunkami to nie za bardzo. Humanistka, no wiadomo: gdybym nie była, to bym tu nie mogła opowiadać. No i on nie wrócił. I pani Polakowa, z Renią, właśnie z tą córką Renią, to już jako jej macocha. Potem mieszkały na ulicy Świętego Ducha, tam gdzie teraz Szymanowscy mają. Tam mieszkały do góry. Tam mróz, zimno. Ja im nosiłam mleko, do

nich tam. Takie tam były zamrożone. Ja im nosiłam mleko. I potem myśmy byli wysiedleni. I myśmy wyjechali. I nie wiem. One potem pojechały tam do Guberni. No i co tu jeszcze mogę.

A.W.: A bracia przed wojną uczyli się w gimnazjum. Może Pani o tej ich nauce trochę opowiedzieć?

F.K.-S.: Aha, jeszcze mogę coś o gimnazjum opowiedzieć. Więc, profesor Balcer był bardzo fajnym człowiekiem. Mam jego opis nawet. Bo ja potem wycinam takie różne i to sobie chowam do mojego archiwum. Balcer był, gimnastykę prowadził. No i w kosza grał, w kosza uczył. Brat mój Bolesław właśnie do jego kosza należał i do hokeja. No to na stodole uwiesił kółko i musiałam mu pomagać z koleżankami, żeby rzucać tam, żeby jego piłkę mu podawać. No tak. A Czesław, Czesław znowuż, salto mortale potrafił. Ten wszystkiego uczył. On pokazywał, jak skakać. Tylko właśnie nie wiem, kto tam z tymi radiami, z tym wszystkim. No, mój braciszek Czesiu to tak kręcił wszystko: – *A Fela, a chwyć, chwyć to*. A mnie tam ciarki przechodziły, bo tam kręcił kółkiem takim. On już tym wszystkim, to wszystko robił. On to wszystko potrafił. Wiesz, jak takie radio zrobił. I on sam robił te obudowania. Co jedno to większe, coraz to więcej.

Ale potem, jak dostaliśmy już prąd, to przede wszystkim, to tylko do domu nam dociągnęli za darmo. Państwo. A do domu wtedy wszędzie, bo tata sprowadził jednego gościa z Poznania i on zakładał nam prąd. I tam jeszcze kilkoma innymi. No to w domu wszędzie światełka były. Światła były wszędzie. I na podwórze, i w oborze, tam w chlewach wszędzie. Wszędzie było pozakładane.

I jak to było założone, to w pierwszym rzędzie mój tata kupił żelazko do prasowania mamie. Bo tak. Jak nie było tego, że to w południe, kiedy grzało się dusze. I najwięcej wtedy, kiedy było najwięcej roboty, bo był ogień. Gotowanie obiadu. Mama krowy doić, świniom dać, to wszystko, gotować i jeszcze prasować. Dusza gorąca. No to wtedy często przychodziła moja kuzynka, Waleria jej było, Walcia. Walcia przychodziła i pomagała cioci to zrobić. A jak ja przychodziłam ze szkoły, to drobne rzeczy już prasowałam. No bo kiedy ona miała to zrobić? I to żelazko. To piękne żelazko kupione tu w rynku u... Kto to był? **Benduziak [po nagraniu F.K.-S. skorygowała nazwisko; powinno być: Gątownski – 00:33:54]** się nazywał? Ten syn jego ożenił się z Kasztelana córką. Holender! Jak on się...? Tam jest teraz ten piekarz, co robi **? [00:34:10]** Za diaska! Tak mi się zapomniało. I u niego było to żelazko, mi się potem przypomniał jeszcze, to żelazko kupione. Pamiętam, że kosztowało 7 złotych 50 groszy. I było ładne. I nawet miało wyłączanie przy tym. Było piękne żelazko. I wtedy mama odetchnęła, bo

mogła sobie po pracy, po wszystkim po południu prasować. I jeszcze nawet taką lampę w tym pokoiku jednym zrobił tak, że sobie ściągała na tym i do cerowania, do czegoś mogła sobie tak. Bo moi rodzice to było bardzo zgodne małżeństwo. Oni się bardzo rozumieli. U nas w domu nie było kłótni, nie było klątwy [00:35:00] i nie było brzydkich słów. Nie było brzydkich słów. U nas było wszystko tak czyściutko. I potem tata od razu radio kupił u... Jak oni się nazywali? Na rogu przy banku są. Na Piłsudskiego mieszkają. Tam jeszcze są... Przypomni mi się. Powiem potem.

Tam radio: w niedzielę się szło z kościoła, to oni już głośno grali. I tam radio przyniósł jedno, ale mu nie bardzo się widziało, przyniósł potem drugie, Philipsa pięciolampowe piękne radio. I to było okno na świat. Wszystko: tam były i tańce przez radio różne. Tam myśmy się uczyli tańczyć. Jak grał Dzierżanowski oberki i polki, no to się okno otwierało. Sąsiedzi tacy byli zadowoleni. Byli zadowoleni, że tak ładnie. No coś wspaniałego. I przyszła wojna. Tam nawet w 1938. Ja nie wiem, czy to był 1938 czy 1939 rok. Przemówienie miał Hitler. To było po południu, o czwartej po południu. Od nas z domu nie miał kto słuchać, bo robota była w gospodarstwie. Ale przyszedł dziadek Ani Przybylskiej. On był cieślą, bo u nas dużo rzeczy nieraz robił, podłogę czy coś tam. To on tam u nas to robił. On pracował w Monopolu. I on siedział. Jeszcze go widzę, jak siedzi przy tym radiu i słucha tego Hitlera. Dwie godziny wtedy Hitler czekał. To pamiętam. Ja go jeszcze widzę, jak on tam siedzi. Ja jeszcze wtedy po niemiecku... Dzisiaj to bym zrozumiała wszystko, co ten Hitler mówi, ale wtedy nie. Wtedy jeszcze nie.

Potem przyszła wojna. I teraz. Niemcy ogłosili: radia pooddawać. Nasze radio było zgłoszone. No więc co? Ja i moja kuzynka Walcia obwiązałyśmy powrozkami i żeśmy zaniósły na rynek. Na prawo pierwsze drzwi, jak się wchodzi. Tam odbierali radio. Dostałam kartkę, taką małą, kratkowaną. Tylko było napisane: 13. Ani żadnej tam pieczętki, niczego. Czyli że ktoś przed nami już 12 radiów oddał. I tak się skończyło. Ale Olki nie mieli radio. Bo wuja radia nie kupił, tylko kupił piękną, piękną jadalnię. Bo jak w święta przyjmował, to musiał mieć ładnie. I oni przychodzili do nas słuchać radia, jak coś było. Ale ten wuja postarał się o jakieś radio od kogoś. I jeszcze wtedy był jego starszy syn, ten który był lekarzem. On skończył studia w 1938 roku. Był potem rok na stażu w Grudziądzu, w szpitalu. I w 1939 wrócił. I on był też takim tym wszystkim. I w budzie zrobili miejsce. Bo pies nie był wiązany, tylko miał wychodne. Zapominam już słowa. I połowę budy przebudowali. Z tyłu z budy brali radio. Oni mogli mieć, bo nie było zgłoszone. I w tej budzie. Wieczorem wynosili to radio i myśmy chodzili słuchać tego Londynu. A wieczorem, jak się skończyło, zawsze było „bum bum” z Londynu.

Wieczorem to myśmy potem, abyśmy wykuknęli: jedenasta godzina. Aha! Zawsze co wieczór szła patrolka przez Kielczewo. Więc myśmy tylko wykuknęli: nie ma ich. Bum tylko na drugą stronę. Bo u nas tak było, że: – *Gdzie idziesz? – Na drugą stronę.* Ale to już będzie opowiadanie na drugą wojnę, na wojenne czasy. [00:40:00]

A.W.: Może jeszcze wróćmy do czasów przedwojennych. Może niech Pani nam opowie, jak Pani pamięta Kielczewo i Kościan z tamtego czasu? Jakie miejsca Pani pamięta? Może Pani miała jakieś swoje ulubione?

F.K.-S.: Kielczewo pamiętam dokładnie, bo byłam taką trochę jakby... Było koło włościanek w Kielczewie. Moja mama też należała do tego. Jak miało być zebranie, to pani prezeska pisała listę, tak zwaną kurendę. I ja z tą kurendą chodziłam do tych wszystkich członkiń. Żeby podpisały, że jest zebranie. Czasem ze mną chodził jeden chłopak, rok młodszy, bo czasem gdzieś trzeba było przejść przez płot, czy gdzieś tam wejść i coś tam tego... I jakby miały jakiś wyjazd albo coś, to wtedy mama mogła mnie za darmo zabrać. Za to, że chodziłam. To ja wtedy jechałam. Czy gdzieś jechały na wycieczkę, czy był film nawet o obronie Częstochowy tutaj.

I wiem, że byliśmy też na wycieczce w Kopaszewie u pani Wandy Chłapowskiej. I wszystkie dorosłe, tylko ja gdzieś w przodzie. Tak żeśmy się ustawiły. I pani Wanda do nas wysłała. I pamiętam nawet, jak była ubrana: skromnie. Taki płaszcz miała, jeszcze starszy płaszcz. Na dole miała jeszcze, na pewno było futro odprute. Że było widać trochę ciemniejsze. Ale tu miała to futerko. I do nas przemawiała. Przed pałacem do nas przemawiała.

A.W.: W którym to było roku?

F.K.-S.: To był rok, bo ja wiem, trzydziesty... szósty, siódmy. Coś takiego było. Potem byliśmy też na takim zjeździe powiatowym w Borówku [po nagraniu F.K.-S. skorygowała nazwę miejscowości; powinno być: w Gorzyczkach – 00:42:20]. U pani Wańkowiczowej. U bratowej [po nagraniu F.K.-S. skorygowała stopień pokrewieństwa; powinno być: u stryjenki – 00:42:25] Wańkowicza pisarza. I tam był taki zjazd. Ja też jechałam z nimi. No ale wtedy miałam pewno już... może miałam te 10 lat. Już chyba miałam. No i tam żeśmy zajechały tym autokarem. I tam dostaliśmy jakiś kawałek kielbasy, bułeczkę, coś nam tam dali. No i potem były występy na tarasie przed pałacem. I tam różne dziewczyny odgrywały, tam coś robiły. I jedna mówiła taki skecz. I ten skecz do dzisiaj pamiętam. I nawet ten skecz później jeszcze gdzieś indziej nawet mówiłam, tam po wojnie w Niemczech. W każdym razie ten skecz. I do dzisiaj pamiętam. Nie wiem czy mam go... Nie będę go mówić chyba. Pani przemowę też miała... Tam było dosyć sporo ludzi. Przemowę miała pani Wańkowiczowa. I potem nas wpuściła do pałacu. Piękne

schody z dwóch stron tak szły do góry. I w pewnym momencie ona mnie wzięła za rękę. I mówi... I tam było dużo ludzi. Dlaczego mnie? Nie mam pojęcia. – *Chodź, coś ci pokażę.* Poszłam z nią do góry. Do jej... taki miała budurek. Taki parawanik mały, lustro. Poszła za ten parawanik. A ja tak stałam i tylko w to lustro patrzyłam. I ona tam pewno coś sobie poprawiała. I wyszła, i znowu mnie wzięła za rękę i sprowadziła na dół. Czy chciała, żebym widziała ten budurek? Nie wiem, co to miało być. No i taką miałam... taką frajdę z tego. Tam starsze ode mnie dziewczyny też chodziły. Bo ona pokazywała... tam pokazywali... Ona zakładała wielki sad niskich drzew. 200 mórg niskich drzew. I tam się chodziło po tym sadzie wszędzie. Tam pracownicy byli. I jak się o coś zapytało, no to wtedy można... I oni odpowiadali, opowiadali. Więc tam trzy dziewczyny, te dwie były takie starsze, to one nie dały pytań. Ja pytałam, dzieciak. Ja się wypytywałam o wszystko. Poważnie mi wszystko odpowiadał. No, takie coś. No ale o pani Wandzie Chłapowskiej to w czasie wojny, [00:45:00] to nie będę mówić. Co ona w czasie wojny przysłała nam do Niemiec. Może później, jak będzie to wszystko tam.

Do kościoła chodziłam, to znaczy... Do starego Krzyża, którego nie ma. Chodziły dzieci ze wsi na katechizm. Te z miasta chodziły do miasta. A my tam chodziły. Pierwszy rok: ksiądz Kleba nas uczył. I teraz właśnie na tym pogrzebie jak byłam, tego zięcia, to właśnie z kimś rozmawiałam, kto znał tego księdza. I wszystko coś tam. – *Wiedziałem mniej więcej* – mówił – *kiedy umarł.* Ale długo żył. Bo potem w Granowie był proboszczem. Tam go widziałam jako proboszcza w Granowie. Przypadkowo tam byłam w Granowie. No i w każdym razie, drugi rok już żeśmy chodzili w mieście, do Fary. Ale on też nas uczył. No a komunia to wszystko to była za księdza Bednarkiewicza. To wszystko było wtedy. I wtedy jeszcze w 1938 roku było... Jak to się mówi? Biskup przyjechał. Jak to się mówi? Benuś? Też nie możesz sobie przypomnieć. No to, co starszym dzieciom dają.

Paweł Sałacki: Bierzmowanie.

F.K.-S.: Bierzmowanie. Bo to był akurat rok, bo co 4 lata przyjeżdżał ten biskup. I to nie było tak jak teraz. Tam tylko był jeden chrzestny. Tylko kładł rękę na ten... I to było wszystko. Nic nie było. Żadnych uroczystości w domu ani niczego. Nawet na komunii, jak dzieci, to też nie było niczego. Ja miałam nie tylko chrzestnych, a moi bracia nie mieli nikogo. Nie było tego. Bo tutaj to zdjęcie to jest właśnie... [F.K.-S. pokazuje zdjęcie AF_MBPKoscian_001_01] To jest zdjęcie u Olków. Bo tam szedł ich syn, Seweryn, 1919 rocznik. I wujka zamówił fotografa. Jeszcze pamiętam, jak fotograf mi powiedział, że ptaszek wyleci. Tak mówili dzieciom. I to było pierwsze moje zdjęcie w życiu. I dlatego tam u nich ładnie przed drzwiami. A teraz ten

dom kupił mój przybrany wnuk, po drugim mężu. Tu mieszka teraz. Szymanowski. Chłopak mądry, jeździ wszędzie. Szkoda gadać.

A.W.: A może nam Pani trochę opowiedzieć o tym, jak się kiedyś obchodziło święta? Może najpierw wielki post i Wielkanoc. Jak to kiedyś wyglądało?

F.K.-S.: No na Wielkanoc, no to właściwie. Moja teściowa to inaczej robiła, bo ona była inna, ale moja mama... No myśmy... Po prostu było święto. Szło się do kościoła. Wielka szynka zawsze była. Na tę Wielkanoc. Każdy sobie kroił, jak chciał. No i dyngus. Przede wszystkim był dyngus. Drugi dzień był dyngus. Ze sąsiadami. To może Pani wiedzieć, co się robiło. Jak woda się lała i oknem wyskakiwali wszędzie i oblewali wszystko. Złani niesamowicie. Tak było.

A.W.: A Boże Ciało? Były procesje?

F.K.-S.: Boże Ciało. Tak, na procesje się szło. Ale nie wiem, czy wszyscy szli w domu, to ja nie wiem nawet. Bo jak na przykład moi bracia w gimnazjum, to oni musieli iść co niedzielę rano do szkoły. I czwórkami maszerowali do kościoła. Wszyscy, w czterech rzędami. Wszyscy szli w mundurach. Takie wojsko szło niesamowite.

Wszyscy równo ubrani. Bo dziewczyny to miały, też miały swoje stroje. Mundurki. Na jesień inne, na lato też inne tam jakieś. Na lato to były marynarskie. Kołnierze, wielkie bluzki białe czy kremowe. Spódniczki we fałdy. I ja to wszystko miałam też uszykowane do gimnazjum. No i tutaj musiały mieć guziczki błyszczące, biały kołnierzyk. Tak dziewczyny chodziły. I berety też z wypustką taką. To musiały być szyte na głowę. Że to jest gimnazjum jeszcze niebieskie. No ale jak już było liceum, to już była siódma, ósma klasa, to już mieli czerwone. To już były zmiany. Na czapce znaczek jakiś tutaj. [00:50:00] To oni byli tak obwarowani.

A jak by chcieli, przypuśćmy, wyjść do miasta w cywilu, nie było im wolno. Tylko mogli w gimnazjalnym. Tylko że moi bracia wieczorami do miasta nie szli, bo musieli pomagać w gospodarstwie. Tylko ci miastowi chodzili. Oni po ósmej godzinie nie mogli być w kawiarni sami. Bo jakby ich zobaczył profesor, to by mieli uwagi. Takie rzeczy były, widzicie. A moi bracia nie szli do żadnej kawiarni, bo pieniędzy nie mieli na to. I oni mieli pieniądze tylko, bo mieli swoje gołębie. Cała kupa gołębi. Wszędzie po tych chlewach i do góry na sianie. Każdy miał swoje gołębie. Jak były sprzedane, to były ich pieniądze. To było ich. I przypuśćmy... Mój tata szykował silosy. Bo nie było silosów, tylko takie jak kiszonkę robili na zimę. To moi bracia sami robili te klocki. Jak to się mówi, te...? Cegły, ale te klocki, jak to są z betonu?

P.S.: Pustaki?

F.K.-S.: Tak, pustaki. Oni sami to robili. I tata im płacił 5 groszy od pustaka, żeby robili. To oni to robili. I takie trzy silosy były wybudowane. I jeszcze ogrodzenie dla takiego poza podwórzem gnojnika. Bo przedtem był gnojnik, wszyscy tak mieli, na podwórzu przy oborze. Ale mój tata wszystko tego... Ten gnojnik w ogóle został zasypany, a wielki zrobił obrobiony ładnie w korze. Mógł wozem tam jechać za stodołą. To już podwórze było czyściutkie. Tam był murarz znajomy i on to wszystko murował. I oni to musieli... I znaczy zarobili parę groszy. No widzicie. Tak sprawa wyglądała.

A.W.: A jak się wtedy obchodziło adwent i Boże Narodzenie?

F.K.-S.: Co mogę powiedzieć. Bo przede wszystkim. Na Boże rany, jak było na Wielkanoc, to zawsze przychodził wuja Olek i naszym chłopakom zawsze wsypnął. Mój tata nie. Ale on przychodził z witką i każdy jeden oberwał. Ale na Gwiazdkę, to tak najwięcej pamiętam jedną Gwiazdkę. To przyszła moja kuzynka, Walcia przyszła. To tak ostatniego. Przedtem nie pamiętam, kto przychodził, wie Pani. To tak więcej do mnie. To wiem, że raz przyszedł. Mój najstarszy brat zrobił mi skrzypce. On już chodził do... Zrobił mi skrzypki takie ładne małe. Nie wiedziałam, że to robił, bo tam na piecu to suszył, to tego nie widziałam. Ładne skrzypce. Ładny smyczek. Bo włosie miał od naszych koni. I wszystko, i szło ładnie grać na tych skrzypcach.

A potem pamiętam, że właśnie, to był rok trzydziesty drugi, trzeci troszkę. 6 lat skończyłam w grudniu. Moja szkoła była skomplikowana. I właśnie kuzynka przyszła. Poznałam ją, bo tam miała trochę coś tam i wystawało. Poznałam, że to ona. I ona mi przyniosła Elementarz. A ja jeszcze wtedy do szkoły nie szłam. Z mojego rocznika chodzili, co były wcześniejsze tam. Przypuśćmy marzec jeszcze do czerwca. A ja jeszcze nie szłam do szkoły. W grudniu skończyłam 6 lat. I jak dostałam ten Elementarz, to w ciągu miesiąca całego czytałam. Wszystko już. A uczyć liczyć to się uczyło, jak się piłkę odbijało. To ja już tam całe słupki pisałam. To się odbijało, najwięcej w sieni. Się odbijało i się liczyło. To się człowiek uczył sam. I miesiące umiałam, wszystko. Nie zgadywałam, normalnie czytałam. Mój braciszek najmłodszy miał trochę z początku trudności z czytaniem, to mama go uczyła. [00:55:00] Trochę takie duże litery. No to ja przy tym byłam, to ja prędzej przeczytałam jak on. [śmiech] To już się przy tym nauczyłam. No i teraz. Co zrobić?

Mój tata miał dobry kontakt z kierownikiem Polakiem. Bo mój tata miał dużo, dużo... Bardzo dużo zrobił dla szkoły. Dzięki tacie właśnie powstała ta siódma klasa. Bo tam był taki...

Po pierwszej wojnie światowej brakło dzieci. Bo ci panowie, co robili dzieci, byli na wojnie. Była luka. I w Kiełczewie groziło, że zostaną tylko dwie klasy. A mój tata, on nie mógł się uczyć, kształcić. Bo on musiał wcześniej gospodarstwo objąć. Bo jego ojciec, dziadek, już był stary. A on skończył taką szkołę, to on już musiał iść w pole, już musiał robić. Ale dzieci chciał wykształcić. No i teraz, co zrobił? Tam był Jeziński. Jeziński był kierownikiem szkoły. On mógł iść już na emeryturę, ale nie musiał. I teraz tata co się postarał? Postarał się o dzieci. Ulica Grodziska, potem Poznańska. O te wszystkie dzieci, żeby te dzieci mogły chodzić do Kiełczewa. Bo Grodziska to kiedyś było Kiełczewo. Do świąteł to było Kiełczewo. Ale nie wiem, w którym roku było to potem przyłączone do miasta. Oni się na to zgodzili. Nawet czy nie z Kurzej Góry jakieś dzieci chodziły. Nie pamiętam. I to miało zostać nie dwie klasy tylko, tylko stopniowo tamtych dołożyli, żeby te klasy szły i szły coraz dalej. Stopniowo, stopniowo, co roku przebywało coś tam. Tak że w roku 1938 już powstała siódma klasa. W 1938 dopiero. Ja byłam w szóstej klasie w 1939. A ci już byli wyżej. Poszłam do szkoły. Bo wtedy kiedyś były półrocza, nawet świadectwa na półrocza były. Do szkoły poszłam od 1 lutego. Od półrocza. I umiałam więcej niż niejeden, który tam był w tej klasie. I dlaczego tak szybko wszystko mi tam...? No bo były takie, które... Córka pana Polaka była też 1927, ale ona była w czerwcu, a ja byłam na końcu. I ja ciągnęłam z nimi drugimi wszystkimi. Dobrze. Wiecie jak jest. Byłam u doktora Skrzypczaka. Jak to mówiłam, to powiada mi: – *To pani szła od 5 i pół roku do szkoły?* No bo tak było. Bo mój tata prowadził kasę szkolną. On to wszystko miał pod sobą. Szkolną, drenarską, wszelkie kasy tam. Jakies zapomogi dla ludzi. Już miał przydomek kasjer.

U nas było wciąż pełno ludzi. Wciąż ktoś przychodził. Bo w Kiełczewie było tak: – *Śluchaj, jak nie wiesz, co zrobić, to idź do Mocka. Mocek ci doradzi.* To był bardzo mądry człowiek. Bardzo mądry człowiek. Miał poszanowanie wszędzie. Dreny, to wszystko... Co roku przychodził do nas ze starostwa pan Ratajczak. I był tam jeszcze, Jezus, jeszcze jeden. Zapomniałam. Potem mi się przypomniał. Co roku, raz w roku przychodzili do nas i jeździli na taką lustrację. Wszystkie rowy, oni wszystko lustrowali i na końcu naszą powózką jechali. Wieczorem kolacja była u nas, no i szli do domu. Ratajczak mieszkał w tych domach przy cmentarzu. A tamten mieszkał w tym drugim domu przy szkole. [01:00:00] Na Mickiewicza, ten duży dom taki jest. Tam mieszkał, tam w tym domu. Jak on tam... Wyleciało mi w tej chwili z głowy. Także u nas wciąż ktoś był. I w cukrowni, i wszędzie, wszędzie był. W Rolniku, wszędzie był. Mama musiała pilnować wszystkiego.

P.S.: A propos mamy i kolacji. Mówiła Pani o kolacji. Pomówmy trochę o diecie. Co jadano? Co było przysmakiem Pani dzieciństwa? Co było często, a co było rzadko?

F.K.-S.: Co żeśmy jedli? No co Panu powiem? Rano był chleb ze smalcem, z wędzonym smalcem. Szłam do szkoły. I kawa do tego. Żadnej polewki, niczego, bo moja mama nie lubiła polewki i nie gotowała. I do szkoły. Szkołę miałam blisko, bo tylko po skosie. To w dużą przerwę przylatywałam, ukroiłam dwie pajdy chleba, posmarowałam smalcem i zjadłam. A jeszcze nie raz któraś nauczycielka powiedziała: – *Przynieś mi w szklance śmietanę.* Zapłaciła za to. Ale ja sama tą śmietanę, tam w piwnicy była, jeszcze tam zaniiosłam. Potem po południu obiad. Obiady nie były nadzwyczajne. Takie sobie zwykłe. Jak był kurczak, to jeden na całą rodzinę. Ja dostałam tylko skrzydełko. I każdy coś tam. To najgorsze to mama, bo kuper żeby obgryźć, to mama brała. I tak wszyscy po trochu, po kawałku każdy, bo więcej nie było. Były ziemniaki, był sos. Był kompot, bo kompoty mama robiła. Jak była zupa, to była zupa. I nie było nic nadzwyczajnego. Podwieczorku nie było. Wieczorem kolacja. Znowu chleb, czy ze smalcem, czy tam przypuścimy w piątek to smażone jajka. To wszystko obkładane. Robiła mama dwa talerze pełne tego. Czy tam smażony ser, czy coś tam, czy jakieś coś. No i jak już miałam 11 lat, to moja mama już wieczorem nie szła krowy doić. Bo tak nas we trójkę, siedem krów żeśmy doili. I te dwie krowy za mamę to ja doiłam. A mama szykowała kolację. Ale nikt mi nie kazał. Ja sama od siebie. A mama jak na ośmiu ludzi uszykowała, to miała co szykować. Mama to robiła. I tak było.

P.S.: A taki odświętny obiad?

F.K.-S.: Odświętny obiad to zawsze był rosół. Albo był rosół i makaron. No i po tym wszystkim... To było wszystko. Albo były kluchy na parze, sos, mięsko ładne, dobre. Bo było takie mięso, że mama niektóre tam smalcem zalewała. Po zabiciu świni niejedno nie kładła w słoiki, tylko w garnkach, w smalcu. Zalewała smalcem. I to takie było dobre. A najczęściej smażyła to mięso w post, żeby nikt jej nie wyjadał z garnka. [śmiech] Jakie to mięso było dobre. Naprawdę. Różne tam, owszem, robiła... Marchewkę jako jarzynkę robiła. Co tam jeszcze robiła? Jeszcze jakieś tam jagły. Coś takiego. Kapustę kiszoną, normalną kapustę. Sałata była. Takie te rzeczy były. Ale to wszystko w naturze. Ale w niedzielę tam nie było żadnej kawy, niczego. Na kolację... Obiad był na kolację. Po południu tam się gdzieś wychodziło. Na kolację na talerzu mama rozkroiła kielbasę. Pętek, taki pętek kielbasy. To tak podzieliła. To ja wiedziałam, który kawałek. Najmniejszy był mój, bo ja byłam najmłodsza. Ja już wiedziałam, który sięgnąć.

P.S.: A słodycze? Czy gościły u was słodycze?

F.K.-S.: Słodycze. To kiedyś jeszcze, zanim, to mama piekła dużo na święta. Placek, jak przypuścimy, na Wielkanoc, to placek czy babkę upiekła. Pamiętam, że jeszcze był piec chlebowy [01:05:00] pod anielką. I tak biedaczka tam paliła w tym wszystkim. Bo tam obok był piekarz, do którego nie chcieli chodzić. Taki tam niedobry piekarz. Z pieczywem tam się nie chodziło. I to taka zmęczona, na kolanach, bo to pod spodem. I to tego placka zostało jeszcze na następną niedzielę nieraz. A na Boże Narodzenie no to pierniki. Pierniki piekła w tym piecu. Przeróżne pierniki. Makowce były jeszcze i placek. To wszystko piekła. Ale potem przyszedł inny piekarz obok i kuzynka Walcia mówi: – *Ciocia, niech ciocia tyle nie piecze. Lepiej do piekarza potem zanieść, a mniej trochę.* I już żeśmy nie piekli. Tam tylko do piekarza się nosiło. Do poprzedniego żeśmy nie nosili, bo on był taki niedobry, żonę bił. Więc tam żeśmy nie chcieli chodzić. Po chleb chodziłam wtedy do Kostańskiego, na Poznańską. Kostańscy, wie Pan gdzie? Tam jest teraz... Gdzie ten fryzjer jest na Poznańskiej. Gołębie tam sikają. Wie Pan, gdzie to jest? Nie wiesz. Wie Pan.

P.S.: Tak wiem, wiem.

F.K.-S.: To tam chodziłam po chleb długi czas. Do Leona Kostańskiego. Z tego domu wyszła Cizzakowa – lekarka. Jeszcze jej siostra po wojnie zrobiła, Ludka, też medycynę. Tam był Heniu, kolega moich braci. Jeszcze był jeden młodszy. I tam chodziłam po chleb. Nieraz tam z koleżankami latem na bosiera, bo się latem na bosiera chodziło. Do Wawrzyńca, bo tam na środku stała figura świętego Wawrzyńca. Chociaż go pan Zielonka nazwał inaczej. Ale to był Wawrzyniec. I tam się chodziło. Z powrotem to zaś były wygryzane dziurki w chlebie. Bo to świeży chleb. No nosiłam, bo tam tata odstawiał zboże. Ja chodziłam z zeszycikiem. A ile razy myśmy robiły z dziewczynami... Nie ma cały czas. No to my biegli do Wawrzyńca i z powrotem. Aleśmy biegały ile wlaźło. Tam my odpoczęły przy Wawrzyńcu i z powrotem. Jak było trochę zimniej, no to w drewniakach już. Bo drewniaki się nosiło. Dzieci do szkoły w drewniakach chodziły. Tylko jak do miasta, do kościoła się trzewiki zakładało. A pamiętam ile razy szłam z koleżankami do miasta, na rynek. Tam też... Teraz co? Gdzie idziemy? Tu Grodziską czy przez Warszawskiego? Warszawski. Idziemy tą Ducha ulicą. Potem tam była ulica Krótka. Bo teraz gdzie jest Moniuszki, to była ulica krótka. Teraz patrzymy. Aha! Otwarte jest u Warszawskiego wrota. Bo oni mieli otwarte tam na kanał. Bo oni aż do kanału byli. Aha, otwarte!

P.S.: To było w Hotelu Warszawskim.

F.K.-S.: Tak, tak. Otwarte. To pędem przez Warszawskiego. Już my były na moście, już na rynku. No a czasem tam było zamknięte. Nie szło przejść. Pamiętam, jak szłam z mamą z kościoła, to na rynku już stały lody. Takie wózki z lodami. No to za 5 groszy loda. To już to wszystko i potem plantami i z górki się leciało. Takie to było nasze życie.

A.W.: A robiła mama przetwory?

F.K.-S.: Tak, mama robiła przetwory, bo mama należała do włościanek i one się już tego nauczyły tam. Pieczenia i takich różnych rzeczy. Robiła gruszki, jeszcze je ładnie kroїła nożykiem, że były ładne rębki. Takie ładne. Ładnie w occie. Bardzo ładne. Dużo żeśmy robili. Mieliśmy dużo rabarbaru. Rabarbar to się robiło, w butelki się kładło. Bo tych słoików aż tyle nie było, co teraz. Czereśnie, wiśnie, agrest. To wszystko mama robiła. [01:10:00] To wszystko było w piwnicy.

I pamiętam, jak była wystawa w 1936 roku, to włościanki z Kiełczewa miały swój kącik. W szkole miały. Taki kącik w narożniku miały i mama tam dała słoiki na pokazanie. Któreś miały pewno 6 lat. I ona pokazała, że w słoikach może tak długo wszystko być. Tam były, teraz nie wiem, czy gruszki, czy czereśnie. Były wystawione właśnie na tym stoisku. A jeszcze z gospodarstwa było tam postawione co? Piękne słoneczniki nam urosły. Tuż za stodołą takie olbrzymie urosły, że one poszły na wystawę. I takie, że takie miały blaty. I to poszło, to stało na stadionie. I jeszcze takie coś. Ogromne urosły też buraki pastewne. Takie też olbrzymie. Te też na stadionie tam były. I ja pamiętam, że ja wtedy poobchodziłam wszystkie tam, wszystko obeszałam. Tylko nie pamiętam stoiska pana Iglowicza. No ja tam miałam wtedy 8 lat czy 9. Też tak dużo jeszcze pamiętam. Po wystawie była w gazecie notatka, że można zgadywać, ile ludzi zwiedziło tą wystawę. No i pomogła mi kuzynka Walcia. I napisałam, ona mi pomogła, do gazety. Dostałam szesnastą nagrodę. Czepek na głowę. I tak byłam ciekawa: nie wiedziałam, kto to ofiarował. Będąc w ratuszu u pana Krama niedawno, oni dali mi odbitkę z tego wszystkiego. Mam tę odbitkę. Ładnie mi tam odbili. I wiem, kto mi dał ten czepek. Bo były tam różne. Pierwszą nagrodę, 50 złotych, to dał bardzo dużo, to był optyk. Na deptaku. Kasprzak się nazywał. Ja pamiętam jeszcze jego tutaj, obok tej Żabki. Tutaj miał takie swoje okno wystawne. I tam był taki pan z dużą głową w okularach. I to pamiętam. Bo w Kościanie bywałam niemal codziennie. To wiem, pamiętam. I on dał 50 złotych. To było strasznie dużo pieniędzy. Taki Czajka, przypuścemy, on dał tylko jedną butelkę jakiegoś wina. Tam jeszcze ktoś coś tego. A moją czapkę dał Jurga, który miał warsztat tu przy pawilonie, gdzie przy moście ten pawilon jest. Tam był Jurga. Tam rowery reperował. To od niego było to. Bo mam

cały tam wypis. Oni mi to dali. Jestem im bardzo, bardzo wdzięczna. Bardzo wdzięczna jestem im za to.

P.S.: Ale pamięta Pani to okno u optyka. Czyli wielkie wrażenie musiały robić na dzieciakach okna wystawowe sklepów. Pamięta Pani? Które było najfajniejsze? Co tam ciekawego było?

F.K.-S.: Właśnie mi się to spodobało! Bo ja tam dużo chodziłam. Ja tam chodziłam. Tam była drogeria. Jakiś Sikora miał drogerię. To zięć Szwarca, tego co te trumny, jeszcze tego starego Szwarca. Tam chodziłam, bo mnie mama posyłała po jakieś tam... Coś tam potrzebne było. I ja w ogóle tam znam, bo tam były sklepy. Tam Tomaszewski miał sklep z towarami, z materiałami. Ale tam tego domu nie ma. Tam jest puste miejsce, obok Stefanowicza. Tam był sklep z towarami. I tam miałam kupowany materiał na sukienkę do szkoły. I na płaszcz do gimnazjum. No to już tam miałam. Ja wszystkich tam znałam. Tam była pani, co tam sprzedawali na tej ulicy, zaraz za bankiem. Jak jest bank, co się ciągnie Spółdzielczy. [01:15:00] To tam była pani Łopatkowa. Tam mnie posyłali z domu po smary do maszyn, po wszystko, po sól bydłęcą. Do siana do jesiennego zbioru. Ja tam wszędzie wszystko chodziłam. To było mi tak znane wszystko.

P.S.: Niech Pani trochę o tych sklepach opowie.

F.K.-S.: Bo ja wiem, co tam mogło być. Zaraz za tą kawiarenką po prawej stronie była drogeria. Sikora miał. I on się ożenił z córką Szwarca. Ale tego, co jeszcze stary Szwarz był. A tam już ten Szwarz miał syna księdza, co jest na cmentarzu, że on w Dachau zginął. Przywieźli jego urnę wtedy. Słyszałam, jak opowiadali, że zanim ona za niego wyszła, to ten tam ją wziął. Dwie godziny jej tam nakładał, jakie będzie miała obowiązki jako żona, jako matka. Jakie takie podobne. I dużo nakładał do głowy. Bo tam mnie mama posyłała po tak zwaną sól szczawikową, która wypleniała rdzę. Bo wszystko kiedyś było białe. Tam chodziłam po to. Do Stefanowicza. Raczej do niego. Tam w oknie już miał takie pamiątki do komunii. Tam miał Stefan, to pamiętam. Tam były różne takie rzeczy. Potem za Stefanowiczem był... Aha! A jeszcze za Sikorą był ten piekarz. Jak on się nazywał? Cholewa. Pawełkiewicz! Tam był piekarz. Potem był ten Stefanowicz. I potem był właśnie ten, za Tomaszewskim gdzieś tam był blisko ten... I tak się tam chodziło: taka ładna duża głowa, okulary. A ten pan jeździł po wsiach nawet z okularami. Do ludzi jeździł nawet. I ten mały tułów. To mi się spodobało. Potem był Ślotała tam rzeźnictwo, takie rzeczy. Potem była kawiarnia u tego... Zapomniałam, jak on się

nazywał. Purpurowskiego. No i później był Rolnik. Do Rolnika mój tata chodził na zebrania na tym rogu. A potem był ten zbor. Niemiecki. Koło tego zboru jeszcze...

P.S.: Jesteśmy w tym zborze. W kryplu. To jest ten budynek, w którym teraz jesteśmy.

F.K.-S.: To tu. To było tu. Bo kilku Niemców pamiętam. Na obecnej Piłsudskiego był stolarz. Naprzeciwko kościółka akurat. Benuś, jak on się nazywał? Zapomniałam. Holender, nie idzie. Do dzisiaj go jeszcze widzę. Jego córkę jeszcze widzę. Tam jest taki niski domek. Jak jest Ducha ulica. Duży dom, a potem jest taki mały domek. To tam właśnie. Bucholz się nazywał. To tego jeszcze widzę do dzisiaj. Tę córkę też, rudą. Ja któryś tam znam, wiem gdzie który co, jaki dom do kogo należał. Ale innego tam nie.

A tu miałam taki przypadek, że musiałam koło tego zboru chodzić. Ale to już we wojnę. To nie wiem, czy to mogę powiedzieć? Bo jak był ten most tu zniszczony, to Niemcy kazali wybudować mosty drewniane. I to było tak, że dali termin. Tyle i tyle, bo jak nie, to rozstrzelamy zakładników. Więc wtedy wszyscy, którzy mieli hurtownie desek, drzewa. [01:20:00] To oni wszyscy wszystko zbierali i szybko robili te mosty. I jaki to był most? To ja mogę wam powiedzieć, jaki to był most. Tu ze skarpy się schodziło po schodach. Potem była platforma nad wodą. I były te... z boku te uchwyty. I tam znowu były schody do góry. Bo ten most legł w gruzach. I pamiętam, bo ja chodziłam na pocztę, do brata. Brat Czesław był w stalagu. Jeszcze nie był zwolniony, tam w Niemczech w stalagu. Ja nosiłam dla niego paczki na pocztę. I tu tędy chodziłam. A miałam już taki niemiecki sweter na sobie. Później o tym, ale miałam niemiecki sweter. I teraz idę tam z góry na dół, podchodzę tu do góry i dwóch z Hitlerjugend tu stało przy tym moście. A oni do mnie: – *Bist du eine Deutsche?* Bo ten niemiecki sweter miałam. A ja mówię: – *Nein!* I uciekłam. Taki moment.

P.S.: A wróćmy jeszcze do przedwojnia. Czy była Pani kiedyś w kinie w Kościanie czy nie? Było w Kościanie kino.

F.K.-S.: Byłam. Byłam ze szkołą. Znaczący byłam w kinie. Cała szkoła szła na tą, no, rysunkowy film amerykański...

B.H.: „Trędowata”?

F.K.-S.: Film amerykański rysunkowy.

A.W.: „Królewna Śnieżka”?

F.K.-S.: „Królowa Śnieżka”, tak. Cała szkoła szła. Nie wiem, czy wszyscy dostali od domu, od rodziców te 20 groszy czy nie. Tego nie wiem. I to był przepiękny film. Przepiękny! Te drugie to już się muszą... no nie wiem co. Coś pięknego.

P.S.: To był kolorowy film?

F.K.-S.: Kolorowy. Piękny. I teraz tak. Jeszcze powiem. Piosenka. Tę piękną piosenkę. No nie mogłam sobie jej zapamiętać, tej piosenki, taka ładna. No i te krasnoludki. To [śpiew:] „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło”.

Ale może wam zaśpiewam. Bo mnie tą piosenkę nauczyła dziewczyna z Poznania, jak byłam w szpitalu w Łodzi na dyfteryt. Ona już miała 16 lat. Ula Lubowiańska. Fajna dziewczyna. Pięknie rysowała. Obok mnie leżała. I ona mnie tę piosenkę nauczyła. Tylko że ja już nie ten głos mam. A to jest przepiękne. [śpiew:] „Piosnkę znam tylko jedną / Piosnkę z bajki i snów / Serce mam tylko jedno / Które dla ciebie biegło aż tu / Serce razem z piosenką / Złożę u twoich stóp / Wtedy śliczna panienko / Na zawsze złączy nasz ślub.” Przepiękne. Tylko ja kiedyś śpiewałam w chórze. Ja śpiewałam ładnie. Solo, wszystko. Ale w tej chwili to już mój głos jest zardzewiały. Tę piosenkę ona, jestem jej bardzo wdzięczna za tą piosenkę. I żem się to „Hej ho...” nauczyła, ale już nie pamiętam tego. [śpiew:] „Hej ho, hej ho, do pracy by się szło”. Ale dalej już zapomniałam. I wygrywam to, bo ja jeszcze gram na harmoniczce w domu. Ustną harmoniczkę. Wygrywam, ja wygrywam przeróżne rzeczy. I to co śpiewa Andrea Bocelli. Ja to wszystko jeszcze wygrywam.

P.S.: To byliśmy w kinie. A była Pani w Sokolni na jakimś wydarzeniu?

F.K.-S.: W Sokolni? Sokolnia. Zaraz powiem. No przed wojną tam się odbywały najczęściej ćwiczenia. I mój wuja chrzestny Olek do Sokoła należał. I on tam się udzielał. Tak jak mój tata w polityce, tak ten się udzielał w tym. Udzielał się też i w kościele. Ale się nigdy ze sobą nie pokłócili. Każdy swoje wiedział. Oni tak sobie ładnie... Bo to mówię, myśmy codziennie mieli kontakt. Ale tam było wszystko w porządku. [01:25:00] I jak było coś tam, coś się odbywało na terenie tego wszystkiego, to szedł wuja, szła Walcia – jego córka i ja. Nie wiem, dlaczego ciocia nigdy nie szła. I pamiętam, że takie tam miasto, tak zwana była... Nieraz kościół tak zwaną wentę używał. I tam była postawiona taka trybuna i tam orkiestra grała, i tam wszystko było. I nawet jeszcze z Poznania raz był jakiś zespół taneczny. Pięknie dziewczyny tańczyły. Takie z baletu nawet były. To wszystko ładnie pięknie. Wuja mi fundował lemoniadę. Także tam wtedy chodziłam. A moi bracia, trójka: Bolesław, Czesław i Tadeusz – ich wuja ćwiczył w tych obrazkach takich, co jeden na drugim stawał. To ich prowadził na naszą łąkę poza

stodołą, tam bliżej kanału. Bo my od strony kanału... I tam ich ćwiczył z witką w ręce. I oni robili takie różne: jeden na drugiego wskakiwał, takie obrazki. I oni to pokazywali też tam w Sokolni. I nawet dostali raz jakiś dyplom. Bo mój braciszek Bolesław miał to wisieć na ścianie oprawiony w ramkę. Dostali dyplom. Tak ćwiczyli tam. Oczywiście jeszcze ćwiczył Seweryn, syn wuja Olka, ale ten starszy, Mieczysław już nie. I mój najstarszy brat też już nie. Ale ci wszyscy... I wuja im tam przygrażał. I oni tak ładnie wszystko ćwiczyli. Tak byli wysportowani. I dlatego tak wiem, że to tam...

Jeszcze było... Nie wiem, który to był rok, 1937, 1938 albo 1936. Teraz dokładnie nie wiem. Przyleciały samoloty do Racotu. Wie Pan o tym? Nie. Dwa samoloty, które przewoziły na łąki racockie. I one przewoziły za 5 złotych od osoby. To było dużo pieniędzy. Za 5 złotych można było buciki kupić już. I woziły nad Kościanem. Wielki zjazd w Racocie. No i teraz tak. Mój braciszek Czesław miał kolegę w Racocie. Ten chłopak przyjeżdżał do nas nieraz ze 3 razy w tygodniu, bo on był siostrzeńcem jednego z tych... Gospodarczego urzędnika w tej stadninie koni. On był u wuja, bo tu było bliżej do gimnazjum. Bo on gdzieś tam z innej wsi pochodził. Formanowski się nazywał. Mam nawet go na zdjęciu. I on miał problemy z matematyką. I on prawie był jak domownik u nas. Rowerem dojeżdżał. Myśmy się uczyli przy radiu tańczyć mazura, hołubce. On już taki dosyć był masywny, ale z nami razem skakał w tym pokoju. Wszystko według instrukcji tego z radia. To wszystko i on. I teraz jak te samoloty przyleciały, to ten wuja w podziękowaniu za to, że mój braciszek temu pomagał, bo przecież za darmo, zaprosił mojego brata na obiad. A mój braciszek był taki, że on też by chciał: – *Fela, ja bym cię wziął, no ale wiesz, jestem tam zaproszony na obiad. No i jak to? To nie wypada.* No nic. Pojechał tam rowerem. Ale pojechał z wujem i z Walcją. Ale Seweryn kuzyn też tam pojechał. Pojechał sam. A myśmy jechali, jechała kolejka. Ekstra pociąg, kolejka do Racotu z Kościana. Dodatkowy pociąg. Ledwo żeśmy się w tę kolejkę wcisnęli. Ale żeśmy dojechali. No i teraz te samoloty. Wuja chciał mi fundnąć jazdę tym samolotem. Ale tam mogły wsiąść dwie osoby i chciał, żeby ten Seweryn ze mną jechał. A on nie chciał, żeby leciał. I przez to nie leciałam samolotem. Bo tak bym leciała samolotem. Wuja tak mnie lubił, chrześniaczkę, że chciał nawet 10 złotych poświęcić, [01:30:00] żebym ja mogła lecieć. Ale ten nie chciał, no więc samej dzieciaka nie mógł tam puścić. Z powrotem przyszlśmy pieszo, ładnie spacerkiem. Jeszcze pamiętam, że jakeśmy szli przez Kurzę Górę, akurat ludzie z Kurzej Góry wybierali... Benuś?

B.H.: Szparagi.

F.K.-S.: Szparagi. Pierwszy raz widziałam, jak szparagi wybierali. I tak po kolei tak żeśmy przyszli do domu. I jeszcze pamiętam... Co mogę jeszcze powiedzieć?

Nie wiem, czy to był 1938 rok już... Nie, bo on składał maturę w 1938, to mogło być w 1937. Było przedstawienie w gimnazjum i dziewczyny tańczyły taniec kwiatów. No i mój braciszek postarał się, że mnie zaprosił tam. Zaprowadził mnie na salę. Posadził mnie ładnie przy brzeżku. I na tym całym przedstawieniu, dziewczyny poubierane w te bibuły, to wszystko pięknie. Jak pięknie tańczyły. Ja siedziałam samiutka. Dzieciak siedziałam. I on się postarał, żebym ja to jeszcze widziała. Już byłam w tej sali. Pięknie to wyglądało. Bo mój kuzynek, ten Seweryn, on właśnie w tych tańcach był też tam. On tańczył z Boyówną. Boy był tutaj w cukrowni. To były cukrowskie wszystko te sprawy. I on też tam był. Ale zaopiekował się mną właśnie mój braciszek Czesław. I ja składałam egzamin do gimnazjum z jedną Psarskiego córką. On był dyrektorem tutaj. Wiedziałam, że Psarski był tutaj dyrektorem. Wszyscy wychodzili z klasy, a ona została. Ja do niej podeszłam i mówię: – *Słuchaj, a z której szkoły ty jesteś?* – *Nie jestem z żadnej szkoły, bo ja się uczyłam prywatnie.* Bardzo miła dziewczyna. Ładna dziewczyna. Włosy takie ładne z natury. Żeśmy sobie chwilę porozmawiały. Podobno syn Psarskiego jeszcze gdzieś w Śmiglu mieszka. Takie mam różne przejęcia. Można je zapamiętać.

P.S.: A pamięta Pani, czy z tych opowieści dorosłych, gdzie najlepiej było znaleźć pracę w Kościanie? Gdzie najlepiej było pracować? Gdzie można było najlepiej zarobić?

F.K.-S.: Wie Pan co, ja Panu powiem tak: było straszne bezrobocie, okropne. Mówię Panu, że u nas kilkoro osób przychodziło po jakąś zapomogę. W tym starym szpitaliku przy Kościele Świętego Ducha. Tam była sama biedota. Bo to był taki szpital, gdzie po jednej klitce mieli. Tam mieszkali. Stamtąd przychodziła taka jedna pani, starsza kobieta już. Więc ona, żeby trochę zarobić, to miała dwóch czy trzech chorych tam u siebie. Dostawała parę groszy. Kaniewska się nazywała. Ona się nimi opiekowała. Ona im tam zupki gotowała. Do nas przychodziła bardzo często. Po pyrki, po skórki od okrasy, po jakieś coś tam. Po wszystko przychodziła. Mamie coś tam zbywała. Albo, przypuścimy, mama coś zamieniała, to to stare ona brała. Naprawdę była bieda. Albo dużo chodziło tak: na Gwiazdkę z tymi stajenkami dzieci śpiewały. Ktoś nawet z Grodziska przyjeżdżał i u nas śpiewał. [01:35:00] Mówi: – *Ja nie zebrzę, ja tylko tak sobie zbieram.* I przypuścimy, do nas przyjeżdża jeden gość z Wrześni, z jedną nogą drewnianą. Potem do nas dochodził. Szedł po drodze, zbierał pieniądze dla syna na naukę. To był porządny gość. On u nas nocował. To nawet mama mu dała poduszkę pod głowę zawsze. Bo nieraz byli tacy, co nocowali, ale w chlewie by nocowali. Po prostu w chlewie nocowali. Bo przecież do domu nikt nie wpuszczał. I on jak uzbierał 40 złotych, to od nas jechał pociągiem do Wrześni. Bardzo porządny. Dla syna na naukę. Na przykład przyszła taka rodzina: troje dzieci, we wózku jedno, on, ona. Teraz chcą nocowanie w stogu,

za stodołą. No więc co? Czy mogą? Tata mówi: – *Możecie, ale biada, jak któryś zapali papierosa albo coś.* To jeszcze resztki obiadu mama im dała. I w tym stogu spali, na drugi dzień szli dalej. Takie rzeczy się działy.

Idę do miasta rano. Na rynku patrzę: cały ten, jak jest apteka... Naprzeciwko drzwi to przejść nie szło. Tyle ludzi stało i czekali, kiedy się otworzą drzwi, że rzucają okruchy jakiejś tam pracy. Tak się to działo. Jak otworzyli drzwi, to wtedy właśnie burmistrz Ferfet tę górę kazał tam sypać, żeby kilka osób dostało pracę. Tak się działo. Ludzie za grosikiem gonili.

A jeszcze muszę powiedzieć, że pan starosta Karpiński miał piękną budkę. Powóz. Wyposażona jak w samochodzie. I stangret, okna, drzwi otwierane jak w pociągu. Wszystko eleganckie. Granatowa, piękna. I kiedy kupił samochód, to za 400 złotych tę powózkę kupił mój tata. I mieliśmy piękną powózkę. I tylko raz do roku żeśmy tą powózką jechali do Czarkowa do wujostwa. Ja musiałam ją przedtem oczyścić. I to była piękna... Wybite wszystko jak w samochodzie. Coś pięknego. Bo on już wtedy sobie kupił samochód.

P.S.: Dlaczego tylko raz w roku nią jechaliście?

F.K.-S.: Bo mieliśmy jeszcze inną powózkę. Wolant, odkrytą. Więc jak coś, to wolantem się jechało, a to stało. Tam ekstra uprzęż była, odświętna. Wisiała, że w razie czego tylko to się zakładało. Lampy, wszystko elegancko. Jak żeśmy jechali ulicą Marcinkowskiego, to już się ładnie jechało. Ale jak się wjechało na most, to jak po lodzie. Na Marcinkowskiego taka piękna kosteczka. Tak się jechało. Ten most to przecież mało tam nasiedziałam przy tym moście. Bo myśmy tylko wyszli do kanału i już był most. Albo w zimie na górkę w parku. Jak był kanał zamrożony, to tylko przez kanał i na górce z sankami. A później już miałam łyżwy, to już po kanale jeździłam jak diaski na samą plażę, wszędzie. Byłam dosyć rozgarnięta. No bo bracia mieli łyżwy, ale ja jeszcze nie miałam. Ale o tym powiem później, jak we wojnę. Powiem, skąd miałam te łyżwy.

P.S.: Powiedziała Pani, że łyżwami dojechała Pani na plażę. Gdzie była ta plaża?

F.K.-S.: Tak tu gdzie jest, to tu była. Tylko wie Pan, gdzie myśmy jechali? Tu był jeszcze ten rów. Przez Piłsudskiego przechodził i dochodził do kanału. Tu był mostek. Tak zwany „zaraza kościańska”, bo to śmierdziało. Niemcy to zasypali. I tu tędy, tu i tam pod mostem kolejowym, i na plażę. Tam się jeździło.

P.S.: Koło góry Ferfeta?

F.K.-S.: Tak, koło góry Ferfeta. Tam się jeździło.

P.S.: A kąpała się tam Pani czy nie?

F.K.-S.: Tak, tam chodziłam z koleżankami. [01:40:00] Trzeba było zapłacić za wejście 20 groszy. Przy wejściu była budka. I tam się kąpałam. Po wojnie moja córka tam chodziła. Oni chodzili tam wszyscy. I ja tam chodziłam z koleżankami. Nawet koleżanka wynajęła tam kajak. I myśmy wkoło tego trochę pływały. I na Dębiec żeśmy jeździli. Brata kolega wziął mnie na rower, bo miał balonowy, tośmy jechali na Dębiec do kąpieli. Mam zdjęcia stamtąd też. Te wszystkie zdjęcia ze mną jechały. Ja sobie wszystko w worki pakowałam. Wszystko tyle świata objechało i wróciło do Kiełczewa. To jest właściwie rzadkość. Byłam rozwinięta, bo miałam wszystkich starszych.

Bo na przykład jak ja byłam w domu a przyszedł biedak jakiś. Chciał chleba albo jakieś parę groszy czy tam 2 grosze, czy 5 groszy, to ja już to dawałam. Ja to dawałam. Jak chleba ukroiłam i nawet się zawinęło w gazetę. Żeby Pan wiedział. Bo tak kiedyś dzieci nawet do szkoły w gazetę miały owijany. I dawałam. Przychodzili do mieszkania do sieni. Pukali skromnie do drzwi do kuchni i czekali, kto wyjdzie. I w ogóle nasz dom był taki przyjazny jakiś. Tak do wszystkich. Ze wszystkimi w zgodzie.

Moja mama była bardzo lubiana. Była pobożna, ale nami nie kierowała w tym kierunku. Bo dlaczego. Rodzice pobrali się w 1914 roku, w styczniu. Ale mama miała ciężkie życie, bo kiedy miała 12 lat... Było ich pięcioro dzieci, ona była najstarsza i zmarła im mama. Sieroty zostały. Z ojcem, który już zaczął pić. Na gospodarstwie w Czarkowie. Jeszcze tam była siostra ojca, to ona trochę pomogła. Ale to wszystko było potem na głowie mojej mamy, bo była najstarsza. Wszystkie rozporządzenia, wszystko. Więc ona naprawdę przeszła swoje. I potem z moim tatą się pobrali w 1914 roku, a w sierpniu tata poszedł na wojnę, do Francji. Następny styczeń mama urodziła najstarszego brata. Taty nie było. Tylko były ciotki i teściowa. Ciotki jak ciotki... Babcia była. Tylko ciotki... wiecie, jak to bywa. One były w domu, a ta przyszła. Rozmaicie to było. Tata nigdy urlopu nie miał. Nigdy nie przyjeżdżał. Ale mama, jak tata poszedł, sobie zobowiązała, że jeżeli wróci, to będzie codziennie do śmierci mówić różaniec. I dotrzymywała kroku póki mogła. I za to ją ceniłam. Że starsza już, a jednak. Ale nas nie goniła. Ani do pacierza, do niczego, ani do kościoła nikogo, nikogo. Tata nie był kościelny. U nas nie było dewocji. O to chodzi. Nie było dewocji.

I jeszcze jakie nieszczęście ją spotkało. W 1916 roku tam była jeszcze stodoła pod słomą. Dom już był w 1896 wybudowany. W 1914 roku wybudowali chlew. Też był pod słomą. Kiedyś wszystko było pod słomą. Mama przyniosła pieniądze, trochę pieniędzy i wybudowali nowy

chlew. Drzewo było dobre, więc tak jak ta wielkość drzewa, tak wybudowali. Przy sąsiada stronie. Ale stodoła jeszcze była. A po sąsiedzku mieszkała jakaś kobieta z synem, który coś tam umysłowo nie tak. I to było dokładnie w 1916 roku, 23 września po żniwach. [01:45:00] To już ziemniaki się wybierało. Ten chłopak zrobił ogień. Był wielki wiatr i chciał sobie usmażyć ziemniaków. Jak to w tych łątach smażyli. To najlepsze ziemniaki na świecie. Mama go nastąpiła koło stodoły, żeby było trochę ciszej. Mama go przegoniła. W południe, kiedy jedzą obiad, a z kuchni nie mieli widoku na podwórze, ludzie przychodzą, że stodoła się pali. Ten chłopak przyszedł znowu z powrotem. Wietrzyko takie było, także całe takie mioty. Pędziło jeszcze tam dalej. Też mieli stodoły pod słomą, to pilnowali tych stodół, bo to tam się też mogło zapalić. I została po żniwach: wszystko zboże, wszystko zmarnowane. Została tylko maszyna do młócenia, bo była żelazna, więc się nie spaliła. Zboża, co tam zostało takie opalone, zwierzęta nie chciały jeść. Bo to było śmierdzące. I tak się biedowała, biedaczka, aż tata przyszedł z wojny. I dopiero w 1922 roku wybudowali stodołę. I w tym czasie, kiedy była ta wielka dewaluacja, te miliony, to mówi mama, że codziennie murarzowi płacili. Mogła być większa, ale nie stać ich było, żeby większą zrobić jak taka. No i do dzisiaj ta stodoła stoi. Do dzisiaj stoi ta stodoła. Tak biednie było. Co przechodziła. I długo nie trwało, znowu wojna. I pamiętam, jak żegnała mojego brata najstarszego. Brat pracował tu w tym KKO, Komunalnej Kasie Oszczędności. Na szczęście tu dostał tę pracę, bo wielu chodziło bez pracy. Pamiętam, jak mu agrafką przypinała do koszuli medalik. Ale przeżył w Warszawie, przeżył we wszystkim. No jednak to wszystko przeżył.

P.S.: Myślę, że na pierwszy odcinek wystarczy. Czyli okres przedwojenny mamy prawie domknięty.

F.K.-S.: Prawie koniec. Muszę myśleć czy tam by jeszcze było. Jeszcze pamiętam, śmiesznie było nieraz tak, bo mama pomidory sadziła. Bo to jeszcze pomidory były takim czymś... Dopiero mój tata musiał się uczyć jeść te pomidory. Kiedyś tak było. A że aż tak dużo nie sadziła, to było tak, że chłopacy zrywali pomidory. Gdzieś tam sobie na szopach ustawiali, żeby mieli już dla nich. Bo tego nie było aż tak jak teraz. To tak śmiesznie było. Ja ustawiałam swoje nad drzwiami wejściowymi. Takie było. I tam sobie ustawiałam. Takie coś robili. A teraz mają w bród wszystkiego. Jakoś tam się żyło. Ja nie narzekam, że musiałam robić. Doiłam krowy, cielaki już poiłam. Po paluszku już ładnie. Ja to wszystko robiłam. Przed wojną już. Podwórze musiałam pozamiatać. Wielkie podwórze. Ja musiałam to wszystko robić.

Sama się uczyłam na rowerze jeździć. Pod rurą, bo nie było przecież damki. Zazdrość. Przybylscy właśnie, Ani dziadkowie, mieli damkę. To im zazdrościłam tej damki, bo tam by

mi się ładnie jechało. A tak musiałam pod rurą. Jechałam gdzieś, to pod rurą. Ale się jechało! Bo na rurze to chłopacy więcej jechali. Dziewczyny już tak nie. Sama się uczyłam. Ani się nie przewróciłam na podwórzu. Nikogo nie prosiłam. Wszystko zrobiłam.

P.S.: Dziękujemy. Godzina pięćdziesiąt minut trwała ta pierwsza spowiedź. Pierwsza spowiedź: godzina pięćdziesiąt. Dziękujemy bardzo.

F.K.-S.: No nie wiem, czy było dobrze.

P.S.: Bardzo dobrze.

F.K.-S.: Tak? Na pewno? Nie kłamiecie? Potem będzie wysiedlenie, wojna. Mam dużo do opowiadania. Powiem. Nie wszyscy Niemcy byli źli, [01:50:00] bo niektórych dobrze wspominam. Ja wam to wszystko opowiem. I ja mam opowiadanie, jak się skończyła wojna i myśmy poszli do tych obozów tak zwanych dipisowskich. I tam też kwitło wielkie życie. Bo ja byłam taka, że gdzie co było, to ja wszędzie byłam.

W Kiełczewie to ja byłam taka powsinoga. Wszędzie byłam, obojętnie gdzie. Mnie tam żadna bieda nie przerażała, bo biedy miałam wokoło dosyć dużo. Mnie to nie przerażało. Ale moi rodzice też nie gardzili biednymi. Teraz powiem tak. Tata jeździł, był radnym w Poznaniu. Jeździł do Warszawy, do Krakowa, on wszędzie jeździł, do Gdańska. Ja mam stamtąd jego zdjęcia. I raz mi przywiózł z Warszawy piękną piłkę. Taką dużą, lakierowaną. Taki kolor, może jeszcze jaśniejszy jak Pani bluzeczka. I same kolorowe rybki na tym były. To mi przywiózł z Warszawy wtedy. To ja tą piłkę użyczałam dzieciom, co mieszkały koło nas. One grały razem ze mną. I nikt mi nie mówił: – *Nie wynoś tej piłki*. Nikt. Bo jak było tak. Chłopcom się piłka popsukała, bo oni znowu grali w palanta albo kopali, bo mieli swoją blazę. Reperowali, tam liczyli. Jak już nie mieli czasu, to: – *Fela, pożycz piłki. My nie będziemy kopać*. Jak im pożyczyłam moją piłkę, obojętnie jaką, to oni kopali i piłka pękła. No to ja dostałam znowu nową piłkę. I tak u nas życie było takie sportowe. Takie inne. Takie nie jak gdzie indziej, jak w innych gospodarstwach. Tak inaczej było. Nikt nikomu nic nie zazdrościł. Moja mama zawsze tak mówiła: – *Nigdy nie zazdrościć tym, co mają więcej, tylko żałować tych, co mają mniej. Bo jak więcej, to człowiek się robi zazdrośny*. Tak moja mama mówiła zawsze. Była kochana. Ojciec też był bardzo w porządku. Bardzo.